

Główny wychodził codziennie, wyjąwszy niedziele i dni świąteczne.

Oddzielne Nra Czasu, o ile są starszy, w Krakowie po 10 c., we Lwowie lub w przesyłkę pocztową 12 c.

Prenumerata wynosi:

	na cały rok	na kwartał	na 1 miesiąc
Pocztą w państwie Austriackim	24 złr.	6 złr.	2 złr. 50 c.
do Włoch, Francji, Anglii, Belgii, Szwajcarii, Turcji	26 złr.	7 złr.	3 złr.
innych państw należących do związku pocztowego	32 złr.	8 złr.	3 złr.

Prenumeratę przyjmuje się tylko od 1go do ostatniego dnia w miesiącu. — Misy z pieniędzmi i przekazy pieniężne na prenumeratę i ogłoszenia (inseraty) uprasza się nadawać franco do Administracji Czasu w Krakowie. — Listy reklamacyjne niepołączone nie podlegają opłacie pocztowej. — Listów niefrankowanych nie przyjmuje się. — Reklamistów nadających nie zwraca się.

CZAS

Prenumeratę przyjmują:

Administracja „CZASU” w Krakowie i urzędy pocztowe. Miejscową prenumeratę księgarnia S. A. Kryszanowski, handel Z. Stalskiego w Sukiennicach. — Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje się za opłatą od miejsca wiersza drukiem drobnym (petitowym) za pierwszy raz 10 c., za każdy następny po 5 c. — Wstawienie (na 3 stronie dziennika) od miejsca wiersza drukiem drobnym po 30 c. za każdy raz. — Dotarcie do „CZASU” przyjmuje się za cenę 1 złr. od 100 ex. dla zamiejscowych, a 50 c. od 100 ex. dla miejscowych prenumeratów. — Ogłoszenia i prenumeratę przyjmują: we Lwowie Ajeny „CZASU” w głównym składzie tytoniu Nr. II przy ul. Trybunalskiej L. 4; w Paryżu wyjąwszy p. Adam, Rue Clément 4; (prenumeratę p. W. Raczkowski, Faubourg Poissonnière 33); w Wiedniu pp. Hasenstein & Vogler (także w Hamburgu, Frankfurcie n. M., Berlinie, Lipsku, Bazylei i Wrocławiu), A. Oppell, Stubenbastei Nr. 2, R. Mosse (także w Berlinie, Bazburgu, Monachium i Norymberdze), H. Schalek, M. Dukes, M. Stern, tytuł prenumeratę pp. H. Goldschmidt & C., w Frankfurcie n. M. G. L. Daube & C.

W Warszawie przyjmują ogłoszenia pp. Reichman i Fendler, biuro ogłoszeń przy ul. Senatorskiej.

Tymczasowe doniesienie.

W drugiej połowie Grudnia rozpocznie „Czas” w fejetonie druk nowej tomowej powieści historycznej

HENRYKA SIENKIEWICZA
z czasów najazdu szwedzkiego za Jana Kazimierza p. t.:

„POTOP.”

Będzie to dalsza część dzieła, którego początek stanowi powieść „Ogniem i Mieczem”, drukowana w „Czasie” w roku 1883.

Przegląd Polityczny.

Kraków 4 grudnia.

Z Budapesztu piszą do *Polit. Corr.*, że deputacja sejmiku galicyjskiego przyjęta zostanie przez Cesarza na audiencyjny w dniu dzisiejszym o godzinie pierwszej. Lista członków deputacji jest następująca: Marszałek krajowy Dr Zybkiewicz, hr. Alfred Potocki, X. biskup krakowski Dunajewski, ks. Władysław Sapieha, grecko-katolicki biskup Sembratowicz i poseł do Rady państwa Leon Chrzastowski. Galicyjskich gości w stołowej węgierskiej wita *Pester Lloyd* w sympatycznym artykule, w którym omawia szczegółowo cel deputacji, a niemiennie zadania, jakie Galicja będzie musiała podjąć dla zapobieżenia na przyszłość powtarzającym się ze smutną regularnością katastrofom powodzi.

W dniu dzisiejszym zbiera się Rada państwa na ostatnią w tej kadencji sesję. Porządek dzienny dzisiejszego posiedzenia jest następujący:

- 1) Pierwsze czytanie przedłożenia rządowego względem ustawy o sprzedaży budynku skarbowego Nr 799 w Jacobergasse w Wiedniu.
- 2) Pierwsze czytanie wniosku deputowanych Poscha, Dra Nitscha i towarzyszy względem uregulowania prawnej stopy procentowej.
- 3) Sprawozdanie komisji budżetowej o 13-tem dorocznym sprawozdaniu komisji Rady państwa dla kontroli długów państwa.
- 4) Sprawozdania komisji legitymacyjnej o wyborach kilku posłów.

Niektóre dzienniki zapowiadają, że obecna sesja Rady państwa zostanie zamknięta większą akcją na polu reformy wyborczej. Przed kilkoma dniami prezes ministrów hr. Taaffe przyrzekł burmistrzom przedmieść wiedeńskich, że spełnione zostaną ich żądania co do wcielenia tych gmin do grupy miejskiej i nadania bezpośredniego prawa wyborczego. Przyrzeczenie hr. Taaffe dało powodzenie prasie czechkiej do wypowiedzenia swoich życzeń. Zaznacza ona, że w Czechach i na Mora-

wie znajduje się wiele miejscowości, które należą do tychczas do grupy wiejskiej, ale z tytułu cyfry swojej ludności i opłacanych podatków, mają prawo domagać się wcielenia do grupy miejskiej, a tem samem bezpośredniego prawa wyborczego. *Pokrok i Politik* wzywają wszystkie większe miasteczka i miejscowości przemysłowe w Czechach, które mogą się wykazać odpowiednią liczbą ludności i siłą podatkową, aby wysłały petycję do Rady państwa o nadanie im bezpośredniego prawa wyborczego.

O rozlepienie plakatów po rogach ulic toczy się obecnie dyskusja w dziennikach wiedeńskich. Centralny komitet liberalny, polecający kandydatów do Izby handlowo-przemysłowej, miał zamiar o-głosić plakaty, zawierające programową odezwę. Lecz policja oświadczyła, iż na rozlepienie podobnych plakatów nie zezwoli. Przeciwni temu oświadczeniu występują namietnicy dzienników opozycyjnych, dopatrując w postępowaniu policji ścieśnienia swobodnej akcji wyborczej. W odpowiedzi im zamieszcza *Wiener Abendpost* następujące *Communiqué*: „Publiczne pisma omawiają od kilku dni w dość gwałtowny sposób rzekomą zakaz policji rozlepiania plakatów, zawierających odezwę wyborczą. Stan rzeczy jest krótko następujący: Ze strony centralnego komitetu wyborczego przemysłowych i kupieckich stowarzyszeń i korporacji wniesiono do dyrekcji policji w myśl § 23 ustawy prasowej prośbę o zezwolenie rozlepiania plakatów, który wyjaśniając stanowisko wspomnianych korporacji, zawierał zupełny program. Dyrekcja policji dotąd zawsze bez względu na stanowisko stronniczo nie udzielała pozwolenia na rozlepienie plakatów, w których się mieściły formalne programy, i wskutek czego polemika przeniesiona była na ulicę, a przeto konsekwentnie postępując i w tym wypadku pozwolenia nie dala.”

Do *Polit. Corr.* piszą z Rzymu, że „ogłoszenie austriacko-węgierskiego i włoskiego regulaminu o rybołówstwie na morzu adriatyckim ma nastąpić wkrótce, gdyż dotycząca wymiana not między obu rządami zupełnie już ukończona. Aby regulaminom nadać obopólnie obowiązujący charakter, zgodzili się oba gabinety wskutek wymiany not, aby regulamin, opracowany na zasadzie goryskiej konwencji, służył za normę dla interpretacji tych wszystkich postanowień traktatu handlowego, które się odnoszą do rybołówstwa na morzu adriatyckim.

Zdaje się, że propozycje angielskie w sprawie finansów egipskich, przesłane już wszystkim mocarstwom, nie zrobiły na nich dobrego wrażenia. Przedwczesnym jednak są niezawodne wiadomości, jakoby to lub owi mocarstwa były już względem nich swe zdanie wyraziły. Nastąpi to zapewne dopiero po wzajemnym porozumieniu się między sobą.

W dalszym ciągu rozpraw szczegółowych nad ustawą o wyborze senatorów, francuska Izba deputowanych przyjęła, mimo sprzeciwiania się rządowi, dwie poprawki, z których jedna zaprowadza niepołączalność godności senatorskiej z inną urzędami, druga (Floquet) system wyborów z list.

Ministerstwo zebrało się skutkiem tego na nadzwyczajne posiedzenie, na którym Rada ministrów

postanowiła zapewne nie robić z tego kwestyi gabinetowej, tylko, w przewidzeniu, że Izba wyższa uchyli to poprawki, czekać chwili, aż zmieniona w ten sposób ustawa wróci znowu do Izby deputowanych.

Spadek w gotowości po ks. Brunzwickim, wynoszący około 20 milionów marek, kazał sąd wydać spadkobiercy księcia Ernestowi, a wyższy radca finansowy Knip, zawiódł mu je już do Gmunden. Tak samo oddał sąd wille książęcy i zamek Richmond Windthorstowi, umocowanemu do ich odebrania.

Nie sprawdzili się więc przewidywania niektórych dzienników, że rząd pruski rozciągnie sekwestrację nad tym majątkiem, tak samo, jak nad prywatnym majątkiem księcia w Hanowerze.

Odmienność postępowania rządu w tej mierze, równie jak głosy odzywające się w brunzwickich *Landes-Ztg.*, że książę Ernest jest dziś inaczej usposobiony, niż w chwili żalu po utracie tronu hanowerskiego, że dziś nawet rzekłby się praw do tronu hanowerskiego, żeby mógł tylko tron brunzwicki osiągnąć, zrzeczenia tego nie może jednak uczynić przedwcześnie, tak na wiat, co mu się nareszcie na nie nie przydało, tylko uczynić to mógł jednocześnie z przyznaniem mu praw do Brunzwicku, naprowadzając na domysł, że może osiągnięcie życzeń księcia Ernesta względem tronu brunzwickiego, nie jest jeszcze zupełnie wykluczone.

Przed kilku dniami ogłosili korespondencye z Konstantynopola do kilku dzienników europejskich przesłane, że rząd turecki odebrał jak najdokładniejsze wiadomości, stwierdzające śmierć Gordona. Wobec niekorzystnego wrażenia, jakie wiadomości tego rodzaju, bez względu na to, czy ich wiarygodność jest mniejsza lub większa, zawsze na publiczność angielską wywierają, można się było w interesie gabinetu angielskiego przynajmniej ogłoszenia nowej korespondencji Gordona spodziewać. Jakoż nadszedł w istocie, jakby na wydany rozkaz, nowy list Gordona do Dongoli. Tym razem unikił on nawet nieostrości, popełnionej w udzielaniu wiadomości o poprzednich listach. Jak wiadomo, dostał się jeden z listów poprzednich z Chartum do Dongoli w dni cztery, drogą, którą pod najpomyślniejszymi warunkami można było odbyć w dni dwanaście. Pomyłkę tę starano się potem usprawiedliwić tem, że data wysłania listu podana została mylnie zamiast daty jego nadejścia. Tym razem nie spieszył się tak bardzo posłaniec. Odbył on bowiem drogę tę w ośm tygodni. Cóż, kiedy znów wiąże się z tą podróżą szczegół o niezbyt prawdopodobnym. Posłaniec dostał się w ręce powstańców, którzy trzymając go przez kilka tygodni pod ścisłym dozorem, byli przynajmniej tak względni, że mu listu nie odebrali. Dla nienachylenia wątpliwości, powinienby rząd angielski udeź nareszcie naleganiem dzienników, domagających się ogłoszenia dosłownego brzmienia tych listów. Brak zaspokojenia tego życzenia, naprowadza bowiem na domysł, że albo listy te nie istnieją, albo treść ich jest tak kompromitująca dla rządu, że ich dosłownego brzmienia publicznie ogłosić nie można.

KOESPONDENCYA „CZASU.”

Lwów 3 grudnia.

(§§) Instytucja austriackich pocztowych kas oszczędności może w tej chwili poszerzyć się, że nie tylko Węgry, lecz i potężne Niemcy biorą ją za wzór godny naśladowania. Cyfrowe wyniki dobiegające już do kresu dwuletniego peryodu istnienia tych kas są w każdym razie daleko świeższe, aniżeli oczekiwać wypadało w pierwszej chwili, po ogłoszeniu wyników za pierwsze miesiące 1883 r. Do szybkiego wzrostu interesu nie-mało zapewne przyczyniły się reformy wprowadzone stopniowo w manipulacji. Przed rokiem jeszcze panowały niektóre tak uciążliwe formalności, że dziś zapewne sam centralny urząd wydzielić się nie może, jak mimo takiego hamulca trwał wzrost agend ani na chwilę nie zostałby przerwan. Przed rokiem jeszcze sięgałem na siebie gorzkie wymówki jednego z waszych korespondentów wiedeńskich za to, że pozwałem sobie powątpiewać o niezbędności wielce uciążliwego przepisu, iż nawet podniesienie najmniejszej kwoty z oszczędności nagromadzonych nie może być dokonane w żadnej kasie zbiorczej, lecz dopiero na Wiedniu i przez Wiednie. Dziś przepis ten już nie istnieje co do kwot niższych (do 20 złr.), a wraz z nim uchylony został i drugi wielce uciążliwy a niepotrzebny przepis, aby każdy właściciel książeczki wkładowej wysłał ją raz w rok w terminie oznaczonym do centralnego urzędu w Wiedniu. Zapewne doczekamy się jeszcze dalszych uproszczeń, bo skoro już można podnieść we Lwowie z oszczędzonej sumy 20 złr., to niepodobna odgadnąć przeszkody, która by nie pozwalała na rozciągnięcie tego upoważnienia, choćby tylko do 100 złr. Względem instytucji pocztowych kas oszczędności stopniowo ciągle przekształcać się musi, bo praktyka wykazywać będzie dalej zbytnieść lub nawet niestosowność niejednej jeszcze formalności. Czy przyjdzie kiedy do tego, żeby krajowe dyrekcje pocztu ku wygodzie publiczności otrzymały charakter i zakres działania formalnych filij, to na razie usunąć z pod dyskusji, bo wśród obecnych stosunków wszystko, cokolwiek streścić się daje w wyrazie decentralizacji, natrafia w kołach kompetentnych na uprzedzenie i niechęć. Argumenta przedmiotowe uważane są w takim razie tylko za płaszczyk dla tendencji politycznej. Lepiej więc pozostawiać tę kwestję w zawieszonym. Jest jednak jedno żądanie słuszne, z którym kompetentne koła liczyć się powinny. Pocztowe kas oszczędności dają tylko 3%, a więc mniej o 1% od najwzrostniejszych zakładów kredytowych. Niski procent razi szczególnie teraz, kiedy rząd węgierski przygotowuje projekt zaprowadzenia pocztowych kas oszczędności w krajach korony św. Szczepana, gdzie się na stopę 3 1/2%. Ta różnica procentowa po jednej i drugiej stronie Litawy, stać się przeszkodą nieprzezwyciężoną w zawarciu kartelu, który leży w interesie instytucji. I ten względ i słuszność przemawiają za podniesieniem stopy procentowej w Austrii. Państwo zaprowadzało instytucje pocztowych

kas oszczędności nie dla zysków, lecz dla dobra publicznego, a przy stopie 3% zysk musi być znaczny, jeżeli administracja utrzymana zostanie w granicach niezbędnej potrzeby. Zresztą państwo w każdym razie odnosi już tę korzyść nieocenioną, że dla renty swojej, dotąd w niektórych prowincjach (np. u nas) mało poszukiwanej, ściągając krocie i miliony gotówki. Wiele różnych okoliczności złożyło się na tak znaczne podniesienie się kursu renty austriackiej w tej chwili, ale między niemi pewnie nie ostatnie miejsce zajmuje także fakt, że przybył nowy bogaty i stały nabywca tj. centralny urząd pocztowych kas oszczędności. Kto każe sobie kupić rentę za złożone pieniądze, ten pobiera 5%, i zarządowi pocztowych kas oszczędności nie nie pozostaje; ale ci maluczy kapitaliści, którzy z trudem centami składają się na kwoty małe, którzy po latach dopiero dojdą do kapitału potrzebnego na zakupienie renty, ci biedacy niewątpliwie tracą na tem, że nie idą do krajowych zakładów lokacyjnych.

Otóż doszliśmy do granicy, do której sięgać może nasza przychylność dla instytucji pocztowych kas oszczędności. Gdzie niema możliwości ulokowania gotówki oszczędzonej (np. po wsiach i małych miasteczkach), gdzie w braku takiej możliwości niema zachęty do oszczędzania i wskutek tego drobne zapaski pieniężne zamiast stawać się zarodem oszczędności, pobudzają owszem widokiem swoim do wydatku zbytniego lub nawet lekkomyślnego, tam pocztowe kas oszczędności mimo zbyt niskiej stopy procentowej są i zostaną zakładami wielce użytecznymi i nieocenionymi, godnymi wszelkiej propagandy dla ich popularyzowania. Gdzie jednak istnieje kasa oszczędności, gdzie istnieje Towarzystwo zaliczkowe z charakterem organu Banku krajowego, gdzie zatem da się jest możliwość lokacy gotówki na procent wyższy, tam wprost zalecić wypadła interesowanym, aby nie garnęli się do pocztowych kas oszczędności. Interes prywatny składających łączy się tutaj ściśle z interesem publicznym. Daleko nam jeszcze do tego, żebyśmy mieli za wiele gotówki. Nasze walory krajowe, równe najlepszym w świecie pod względem bezpieczeństwa, nie mają jeszcze kursu dobrego, a mogłyby mieć lepszy jeżeliby gotówka krajowa całkowicie do nich się zwracała, jeżeliby kapitaliści w kraju uważali poniekąd za obowiązek nabywać przedewszystkiem papiery krajowe, oczywiście z zastrzeżeniem, że to leży także w ich interesie, bo w przeciwnym razie taka insynuwa na ich pieniądze byłaby najsłabszym żądaniem. — Kto [porówna kurs renty z kursem naszych walorów, i weźmie także w rachubę korzyści z losowania płynące] (ten pewnie uzna, że w tej chwili przynajmniej zastrzeżenie powyższe jest zbyt techniczne.

Jeżeli dziś już nie jest dla kraju obojętny odpyły gotówki ku pozakrajowym zakładom i walorom lokacyjnym, to w przyszłości jeszcze więcej temu zapobiegać wypadnie. Jeżeliby bowiem trzeba było realizować jakąś wielką pożyczkę krajową n. p. na regulację rzek, to kraj obciążony już milionowymi długami musiałby może przygotować się na trudne warunki ze strony pozakrajowych kapitałów.

Z pamiętników krótkowidza.

Przepisała *Hajola*.

(2)

(Ciąg dalszy.)

Ochłodzeni taką interwencją siedzieliśmy jakiś czas cicho; nagle Wacek spojrzawszy w górę na ścianę, parsknął śmiechem, Władek poszedł za jego przykładem i zamykając o urazie, spytał mnie, czy to nie pyszny koncept?

— Co takiego?
— No, nie widzisz?
Spojrzał na ścianę pokrośloną różnemi napisami, które nasi bracia po koczach na pamiętkę swych wędrownych refleksji zostawili.
— Gdzie?... — spytałem, wytrzeszczając oczy.
— A tam! Wyżej!... Ha! ha! ha! to mi się udało!

Czułem, że dałbym wiele, gdybym się był mógł także roześmiać!

— Cóż ty! ślepy jesteś! — zawołał niecierpliwie Wacek.
— Ślepy nie! — odpowiedziałem, zacerwieniwszy się po same uszy — ale nie widzę z tak daleka...

— Nie widzisz! Toś ty mi dlatego tak wysoko książkę podniósł?
— Dlatego.
— Nie przez złość?
— Nie!

— No, to daj głębiej...
Uściskaliśmy się, poczem Wacek rzekł:

— To dopiero!... Pokażno oczy.

Przyprowadzili mnie do okna i zaczęli mi się bacznie przypatrywać, szukając czegoś szczególnego w moich wzrokowych organach.

— Uważasz, Władziu — rzekł Wacek z powagą — on ma jedno oko mniejsze, niż drugie. To pewno dlatego.

— Ale nie! Tylko na tamtem ma plamkę, żółtą plamkę.

— Może to będzie katarakta?

— Co wy mówicie! — zawołałem przerażony.

— Mnie oczy nigdy nie bolały! Ja mam zdrowe oczy! Ja mam takie same oczy, jak wy!

— Akurat!... A czemuż nie możecie czytać zdaleka?

czyta, a nigdy na oczy nie chorowała; nawet okularów nie używa, choć stara! Aha!

Koleczy moi nie znaleźli na razie czem odeprzeć tego dowodzenia i zostawili mnie panem placu; ale ja w głębi duszy nie czułem się tak bardzo zwycięzcą. Pewna wątpliwość, która mnie już nieraz przebiegła po głowie, zaczęła mnie na dobre nartować. Musiałoby być coś jednak niezwykłego w moich oczach. Dlaczego naprzykład nie mogłem nigdy dojrzeć cyfr, jakie profesor arytymetyki pisał na tablicy, ani też zorientować się na wiszącej w klasie wielkiej mapie. Inni przecież nie uskarżali się na to, więc ja jeden pomiędzy nimi byłbym wyjątkiem... A może też rzeczywiście osłepnę?

To przypuszczenie tak mnie struło, że postanowiłem zapytać się naszego korepetytora, który w moim pojęciu był takim wiadrem mądrości, jak bezdenna studnia wiedzy każdy z profesorów. Szczęśliwy wiek, w którym tak łatwo uwierzyć w bezwzględna doskonałość.

Znalazłszy się raz z nim sam na sam, zdobyłem się na odwagę.

— Proszę pana — rzekłem, zbliżając się do okna, przy którym stał i zapewne marzył o obiadach u wujenki — czy pan widzi, kto idzie po drugiej stronie ulicy?

— Albo co? — zapytał, wychylając żywo głowę za lufkę. Myślał może, że zobaczyłem jego wujenkę.

— Nie... tylko czy pan widzi?

— No widzę, dwóch żydów i baba z koszykiem! Pocóż to głupie pytanie?

— A dlaczegoż ja nie widzę?

— Nie widzisz?

— Tylko tyle, że się coś czarnego rusza, zresztą nie, jak takte kocham! — dodałem w obawie, że mi nie uwierzy. — Dlatego to, proszę pana?

Korepetytor spojrział na mnie.

— Dlatego, że masz krótki wzrok. *Curtum visum!* Nie wiedziałem o tem?

— Czy to co bardzo złego, proszę pana?

— Naturalnie, że nie dobrego! Będziesz musiał nosić okulary! Powinieneś już zacząć nosić.

Okulary! Wszystko się aż we mnie na tę myśl zatrzęsło... Jakże ja bym wyglądał w mundurze i w okularach? Tożby się dopiero ze mnie śmiali...

— A czy... czy dużo ludzi na świecie ma krótki wzrok? — zapytałem na wół z płaczem.

— Nie nudźcie mnie!... Możebyście chcieli, żeby im poszedł policy? Ci, co mają, to mają!

I po tem wyczerpującem objaśnieniu, „wiadro mądrości” odwróciło się do okna, zostawiając mnie

przegnęcionym nad wyraz. Krótki wzrok! Co za niemądre kalestwo! To już lepiej wcale nie widzieć. Od ślepych nikt przynajmniej nie wymaga, żeby się znajomym o pół mili kłaniali i nikt się na nich nie gniewa, jeżeli co stłuką lub wywrócą. Postanowiłem nie przyznać się do tego przed Wackiem i Władkiem, niech myślą, że to mi się tylko tak przypadkowo zdarza czegoś nie dopatrzeć, ale że zresztą tak samo dobrze widzę, co się dzieje na tym Bożym świecie, jak i oni.

Wtedy—to już obudził się we mnie ten dziwny wstyd i ta obawa zdradzenia się z tem, co mi przecież żadnej nie przynosiło ujmy.

— Jeden tylko pan Klemens (takie było imię korepetytora) wie o tem — mówiłem sobie — a on pewno zapomni.

Że zapomniał, choć nie zupełnie, tego w jakim czasie potem miałem dowód.

Pewnego wieczora siedzieliśmy wszyscy przy stole, odraabiając zadania; pan Klemens bardziej niż zwykle roztargniony miał oczy utkwiłone wleżący przed nim arkusik białego różowego papieru i z pewnością przerwa mi pisał coś na nim starannie.

Trzeba było nieszcześcia, że chcąc go o coś zapytać, stanąłem za jego krzesłem i patrzącym machinalnie przez ramię, czekając, aż skończy. Ale on, uczuwszy widok wzroku mojego na sobie, odwrócił się, zacerwienił jak piwonja, a że był krótkowidzem, więc zerwał się na równe nogi, złapał mnie za ucho i zapytał groźnie, jak śmiałem czytać to, co on pisał.

Ledwo zdolałem go przekonać, że ani jednej litery jego tajemniczego rękopisu nie widział.

— Prawda — rzekł puszczając mnie i oddychając swobodnie — zapomniałem, że masz *curtum visum*.

I zasiadł znowu nad swą różową ćwiartką, ale tym razem sokołe oczy zaciekawione Wacka wysłuchiwały jej tręś i w ten sposób dowiedziałem się, że było to wiersze, zapewne jego utworu, a niewątpliwie wystawiane do wujenki, zaczynające się od słów: „Godzina była czwarta, a jam nie spał jeszcze”.

Ala ta wiadomość nie wynagrodziła mi krzywdy, jaką mi dwa niebacznie przez niego rzuczone słowa zraziły. Nie trzeba było więcej moim kolegom i otąd cała klasa nie nazywała mnie inaczej, jak *curtumviskiem*.

Jeżeli jednak źle widziałem zdaleka, to nawiązałem nie z tego, co się blisko mnie działo, nie uchodziło mojej spostrzegawczości, a przynajmniej szczególny dar chwytania i naśladowania ruchów, głosu i przyzwyczajęń innych osób. Moi

koledzy, a inni uczniowie zameczali mnie, żebym pokazywał, jak ten profesor chodzi, a tamten nosi uciara, jak inny peronje, a ów znowu się kłania. Zdolność ta malpiarska wyrobiła mi pewną sławę w gimnazjum, a ja byłem z niej tak dumny, że dla podtrzymania jej pozwalałem sobie wbrew memu dobremu sercu — takich rzeczy, które przeciwnie świadczyć mogły.

I tak między innemi naśladowałem Marcelkę, wracającą z pensji. W tym celu ubierałem się w obszerny na mnie mundur pana Klemensa, który mi do pięt dostawał, wypychałem go z przodu i z tyłu torniastami i z trzecim w rękę chodziłem po pokoju, oglądając się i kopijując tak wiernie charakterystyczne dosyć ruchy biednej garbuski, że Wacek i Władek pokładali się od śmiechu.

Raz, dla tem lepszego złudzenia, przyszło mi do głowy przebrać się w jej suknie. Mądry ten domysł zaśliznął mi o szarej godzinie, kiedyśmy się bawili na podwórzu, a Marcelki i Sędziny wyjątkowym trafem nie było w domu.

Wpadam więc do pustego, jak mi się zdawało, pokoju, znajdując pomimo znurowi potrzebne mi rzeczy, znajdując nawet jej kapelusze leżący na łóżku, co mnie nie zastanawia, przestrzegam się co żywo i w rodzaju próby przechodzę raz i drugi pokój, starając się o jak najwierniejsze odwzorowanie oryginału.

Kontent z siebie, zmiarzałem już ku drzwiom, gdy wtem z najciemniejszego kąta dolatnę mnie łagodny głos:

— Com ja ci zrobiła, Leosiu, że mnie tak prze-dreżniasz?

Grad kamieni, spadający mi na głowę, nie byłby mnie bardziej oszołomił, niż te proste, smutne słowa.

Marcelka była w pokoju, a ja jej nie widziałem. Spostregłem ją dopiero, gdy wstała i zbliżyła się do mnie, bom ja się z miejsca nie mógł ruszyć; a gdy już była tuż przy mnie, spostregłem także dwie duże łzy, spływające z jej wielkich, podsi-niałych oczu. Na ten widok doznałem takiego u-czczenia, jak gdyby mi kto serce kleszcza mi ścisnął, jednym zamachem zrzuciłem z siebie jej kaftanik i owe nieszezęne, garb tworzące tornistry, i nie zważając, że zostałem tylko w kamizelce, padłem do nog i twarz we faldach jej sukienki ukryłem.

— Panno Marcelko! — zawołałem — niechaj mnie panna Marcelka zabije, a nie gniewa się na mnie!

— Ja się na ciebie nie gniewam, Leosiu — odparła Marcelka, usiłując mnie podnieść — tylko...

...tak mi się przykro zrobiło.

Przy tych słowach głos jej zadrażał i tłumiono kłania wstrząsnął jej biedną piersią.

To mnie ostatecznie dobiło.

— Panno Marcelko! — jęknąłem rozpaczliwie — niech panna Marcelka nie płacze, bo... bo... bo ja umrę.

I rozszlochałem się tak, że ona sama pocieszać mnie musiała. W dalszym moim życiu wiele ważniejszych przykrości i donioślejszych wypadków spotkało mnie z powodu mego krótkowidztwa; śmiało jednak powiedzieć mogę, że nigdy nie byłam tak boleśnie zawstydzony, tak zły na siebie i na swoje przekleństwo, jak wtedy.

Ale niema tego złego, co by na dobre nie wyszło. Owo niemiłe zdarzenie zbliżyło mnie do Marcelki, a z czasem przywiązałem się do niej, jak do siostry. Droga moja garbuska! Widziałem otąd po świecie dużo cudnych biustów, czy to wykutych w marmurze na wieczną własność jakiej Wenery lub Junony, czy falujących życiem pod osłonką gaz i koronek; ale nie zdarzyło mi się już spotkać tak czystego i tkliwego serca, jak to, które było w tej niekiesztalnej piersi. Przez siedm lat spędzonych pod jednym dachem z Marcelką nie usłyszałem w jej ustach ani jednego gorzkiego słowa, nie odkryłem ani jednej samolubnej myśli. Wiedziała ona, że należy do tych, którym życie i świat nie daje; więc sama dawała, co mogła: kochające serce i współczująca dusza, na-przód swojej babce, a potem mnie. Stała się moją powiernicą, a i moją pomocnicą zarazem, i niejednym wypracowaniem, za które chwalało mnie później w klasie, napisane zostało długą kościstą jej ręką. Nad wiek dużo wiadomości i rozsądku miało to upośledzone fizycznie dziewczę, i jeżeli mimo mego krótkowidztwa, peryodycznych napadów lenistwa i chronicznego roztargnienia, przebrnąłem sięśleszliwie przez pierwsze trzy klasy, to to głównie zawdzięczałem.

Moi koledzy nie omieszkali naturalnie przesła-dować mnie tą przyjaźnią z Marcelką, która stała się zbyt widoczną, żeby nie zwróciła ich uwagi.

— Wiesz co — rzekł raz Wacek — to wielka szkoda, żeś ty nie starszy. Moglibyście się pobrać. Ty ślepek, ona garbata... byłaby z was ładna para. Cóż myślisz?

Nie myślałem nic... ale palnąłem go tak dzielnie pięścią w kark, że raz na zawsze odechciało mu się zajmować moją matrymonialną przyszłością.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

